

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Prevost

Historia Manon Lescaut i kawalera des Grieux

Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy)

Tytuł oryginału
«Histoire du chevalier des Grieux
et de Manon Lescaut»

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PRZEDMOWA AUTORA

Przygody kawalera des Grieux mogłem być włączyć w moje pamiętniki; wydało mi się wszakże, iż wobec braku ściślejszego związku milej będzie czytelnikowi ujrzeć je oddzielnie. Opowieść tych rozmiarów stanowiłaby zbyt długą przerwę w wątku mych własnych dziejów. Daleki jestem od pretensji do tytułu wzorowego pisarza, mimo to wiem, iż należy opowiadanie oczyścić z epizodów, które by je czyniły ciężkim i zawiłym. Zasadę tę głosił już Horacy:

*Ut iam nunc dicat, iam nunc debentia dici,
Pleraque differat, ac praesens in tempus omittat.*¹

Nie trzeba nawet takiego autorytetu, aby dowieść prawdy równie prostej; zdrowy rozsądek jest źródłem tego prawidła.

Jeśli czytelnik znalazł jakiś powab i zaciekawienie w dziejach mego życia, ośmielam się przyrzec, iż niemniej będzie zadowolony z tego dodatku. W postępках pana des Grieux ujrzy straszliwy przykład namiętności. Odmaluję tu młodego szaleńca, który depce własne szczęście, aby się rzucić w ostateczne niedole; który, przy bogatych darach dających prawo do najświetniejszych nadziei, samochcąc przekłada pokątne i niesławne życie nad wszystkie przywileje losu i natury; przewiduje swe nieszczęście nie chcąc ich uniknąć; czuje je i jęczy pod nimi, wzdragając się korzystać z lekarstw, jakie życzliwa ręka podsuwa mu bez ustanku. Jest to charakter dwoisty, mieszanina cnót i błędów, dobrych uczuć i złych postępków – oto główne rysy obrazu. Zdrowo myślące osoby nie będą uważały tego dzieła za bezużyteczną pracę. Poza przyjemnością lektury mało się znajdzie w tej powiastce szczegółów, które by nie mogły posłużyć ku poprawie obyczajów, moim zaś zdaniem, niemałą oddaje usługę czytelnikom, kto ich uczy wśród zabawy.

Zastanowiwszy się bodaj trochę nad przepisami moralnymi, nie podobna się nie zdumiewać widząc, jak równocześnie ludzie szanują je i zaniedbują. Mimo woli pytamy o przyczynę dziwactw serca ludzkiego, które każą nam smakować w pojęciach dobra i doskonałości, tak bardzo oddalając się od nich w praktyce. Niechaj osoby pewnej miary umysłu i wychowania zechcą się zastanowić, jaka jest najczęstsza treść ich rozmów, a nawet rozmyślań. Łatwo im będzie zauważyć, iż zwracają się one prawie zawsze ku jakimś roztrząsaniom moralnym. Najmilsze chwile to te, które spędza się albo samemu, albo z przyjacielem, gwarząc szczerze o powabach cnoty, o słodyczach przyjaźni, o sposobach osiągnięcia szczęścia, o słabościach natury, które oddalają nas od niego, o lekarstwach zdolnych słabości te uleczyć. Horacy i Boileau określają to zatrudnienie jako jeden z najpiękniejszych rysów tworzących obraz szczęśliwego życia. Czym dzieje się tedy, że człowiek tak łatwo osuwa się z tych wysokich dociekań i spada rychło na poziom pospółstwa? Jeśli się nie mylę, oto powód sprzeczności naszych pojęć a naszego postępowania: wszelkie przepisy moralne są to zasady nieokreślone i ogólne, bardzo tedy jest trudno zastosować je w poszczególnym wypadku do naszych obyczajów i postępów.

¹ Trzeba z miejsca mówić, co z miejsca mówić należy, zaś resztę odłożyć na później i na razie opuścić. Horacy, *De arte poetica*, w. 43–14.

Weźmy na przykładzie: szlachetne dusze rozumieją, iż dobroć i ludzkość są to cnoty pełne powabu, tym samym czują się skłonne praktykować te cnoty; ale niech przyjdzie chwila działania, często znajdują się w niepewności. Czy, w istocie, jest sposobność po temu? Jak określić właściwą miarę? Czy nie zachodzi omyłka co do przedmiotu?

Sto trudności wstrzymuje nas: lękamy się wyjść na dudków idąc za porywem dobroci i hojności, uchodzić za słabych okazując zbytnią miękkość i czułość, słowem, obawiamy się przekroczyć lub nie dopełnić miary obowiązków kryjących się nazbyt mglisto w ogólnych pojęciach ludzkości i dobroci. W tej niepewności jedynie doświadczenie lub przykład mogą pokierować skłonnością serca. Owóż doświadczenie nie jest to zdobycz, którą by każdy mógł osiąść na zawołanie; zależy ono od sytuacji, w jakie wtrąca nas koleje losu. Pozostaje więc jedynie przykład, on musi większości osób posłużyć za wskazówkę w praktykowaniu cnoty.

Dla tego właśnie rodzaju czytelników dzieła takie jak niniejsze mogą się stać ogromną korzyścią, o ile kreśli je uczciwe i rozsądne pióro. Każdy fakt jest w nich promieniem światła, nauką zdolną zastąpić doświadczenie, każda przygoda wzorem; trzeba jedynie dostosować je do okoliczności. Całe dzieło to traktat moralny rozłożony na miłe i zajmujące przykłady.

Surowy czytelnik zgorszy się może, iż w moim wieku podejmuję pióro, aby spisywać burzliwe przygody miłości; ale jeśli przytoczone przed chwilą uwagi są słuszne, starczą za usprawiedliwienie; jeśli błędne, omyłka moja będzie mi wymówką.

Część pierwsza

Pozwolę sobie zawrócić czytelnika do okresu mego życia, w którym spotkałem po raz pierwszy kawalera des Grieux. Było to mniej więcej na pół roku przed wyjazdem do Hiszpanii. Mimo iż rzadko opuszczałem mą samotnię, względ na córkę skłaniał mnie niekiedy do małych podróży, które zresztą skracałem, ile mogłem.

Wracałem jednego dnia z Rouen, dokąd udałem się na jej prośby. Chodziło o dopilnowanie pewnej sprawy toczącej się w Normandii, a tyczącej posiadłości, jaka spadła na mą córkę po dziadku. Puściwszy się przez Evreux, gdzie stanąłem na nocleg, przybyłem nazajutrz na obiad do Passy. Wjeżdżając do miasta ujrzałem ze zdziwieniem, że cała ludność jest mocno poruszona. Kto żył, wypadł z domu, aby pędzić do bram gospody, przed którą stały dwa zamknięte wehikuły. Konie, nie wyprężone jeszcze, dymiące od zmęczenia i upału, świadczyły jasno, iż pojazdy dopiero co przybyły.

Zatrzymałem się chwilę, aby spytać o powód zbiegowiska, ale niewiele mogłem się dowiedzieć od gawiedzi, która nie zwracała żadnej uwagi na moje pytania. Wszystko tłoczyło się do gospody, popychając się bezładnie. Wreszcie jakiś stróż bezpieczeństwa, strojny w pas skórzany, z muszkietem na ramieniu, ukazał się w progu; dałem znak, aby podszedł bliżej. Poprosiłem, aby mi wyjaśnił powód tego zgietku.

– To nic, panie – odparł – ot, odprowadzam wraz z kompanami do Hawru tuzin ładacznic, gdzie załadujemy je do Ameryki. Jest między nimi kilka wcale ładnych, stąd zapewne ciekawość wieśniaków.

Byłbym się oddalił po tym wyjaśnieniu; zatrzymały mnie krzyki starej kobiety, która wyszła z oberży załamując ręce i wołając, że to, co się tam dzieje, to barbarzyństwo, rzecz budząca grozę i współczucie.

– O cóż chodzi? – spytałem.

– Ach, panie, wejdź pan – odparła – i spójrz, czy serce nie może stopnieć od tego widoku.

Ciekawość kazała mi zsiąść z konia, rzuciłem uzdę stajennemu. Wszedłem, przepychając się przez tłum, i ujrzałem w istocie widok dość wzruszający.

Pośród dwunastu dziewcząt, związanych z sobą po sześć, znajdowała się jedna, której postać i fizjonomia tak były sprzeczne z jej stanem, iż w każdej innej okoliczności wziąłbym ją za osobę z najlepszego towarzystwa. Smutek malujący się na twarzy, zaniedbanie bielizny i odzieży tak niewiele zdołały jej odjąć uroku, iż widok ten tchnął we mnie szacunek i litość. Mimo to, o ile tylko łańcuch pozwalał, starała się odwrócić, aby umknąć twarz oczom ciekawych. Wysilek, z jakim siliła się ukryć, był tak naturalny, że widocznie płynął z uczucia skromności.

Ponieważ strażnicy, którzy w liczbie sześciu towarzyszyli nieszczęśliwej gromadce, znajdowali się również w izbie, wziąłem naczelnika ich na stronę i poprosiłem o wyjaśnienie losów ładnej dziewczyny. Niewiele umiał mi powiedzieć.

– Wzięliśmy ją ze Szpitala² – rzekł – na rozkaz naczelnika policji. Trudno przypuszczać, aby ją tam zamknięto za nadmiar cnoty. Próbowałem pytać jej w drodze; uparcie odmawia odpowiedzi. Jednak mimo że nie dostałem rozkazu, aby się z nią obchodzić lepiej niż z inny-

² Szpital Powszechny – osławione więzienie dla kobiet.

mi, mam dla niej nieco względów, wydaje mi się z lepszej mąki niż jej towarzyszki. Oto – dodał strażnik – młody panicz, który lepiej ode mnie mógłby pana pouczyć o przyczynie jej nieszczęścia. Towarzyszy nam od samego Paryża, nie przestając ani na chwilę płakać. Musi to być brat albo kochanek.

Zwróciłem się w kąt, gdzie siedział ów młody człowiek, pogrążony w głębokiej zadumie. Nie zdarzyło mi się widzieć żywszego obrazu boleści. Ubrany był skromnie, ale na pierwszy rzut oka poznać było człowieka wzrosłego w przywilejach urodzenia i wychowania.

Zbliżyłem się. Wstał na mój widok; w oczach, twarzy i ruchach malowało się coś tak wykwintnego i szlachetnego, iż uczulem dlań niewytłumaczoną życzliwość.

– Niech się pan nie krępuje – rzekłem siadając obok. – Czy zechce pan zaspokoić ciekawość, jaką budzi we mnie ta piękna osoba, nie stworzona zaiste do tak smutnego losu?

Odpowiedział z całą uprzejmością, iż może mnie objaśnić w tej mierze, nie zdradzając wszakże własnego nazwiska; są ważne przyczyny, które mu każą pozostać nieznanym.

– Mogę panu wszelako powiedzieć, co nie jest tajne tym nędznikom – ciągnął wskazując strażników – iż kocham tę osobę namiętą miłością; miłość ta czyni mnie najnieszczęśliwszym z ludzi. Użyłem w Paryżu wszystkich dróg, aby uzyskać jej wolność. Prośby, chytrość i siła okazały się daremne, postanowiłem tedy towarzyszyć jej, choćby na koniec świata. Wsiadę wraz z nią na statek. Pojadę do Ameryki.

– Ale to już ostateczna nieludzkość, te nędzne łotry – dodał mówiąc o strażnikach – nie pozwalają mi zbliżyć się do niej! Zamiarem moim było napaść ich otwarcie o kilka mil za Paryżem. Stowarzyszyłem się z czterema ludźmi, którzy za znaczną kwotę przyrzekli mi pomoc. Zdraycy zostawili mnie w krytycznej chwili i uciekli unosząc wyłudzoną zapłatę. Niepodobnieństwo użycia siły kazało mi złożyć broń. Uprosiłem strażników, aby mi pozwolili bodaj towarzyszyć konwojowi w zamian za sowitą nagrodę. Pragnienie zysku skłoniło ich do zgody. Żądali, abym się opłacał za każdym razem, kiedy mi pozwolą mówić z ukochaną. Sakiewka moja wyczerpała się rychło; i teraz, gdy jestem bez grosza, barbarzyńcy śmiał mnie odtrącać, ilekroć próbuję się zbliżyć. Przed chwilą, kiedy się odważyłem podejść mimo ich pogroźek, bezczelnie zamierzili się na mnie kolbami! Aby zaspokoić ich chciwość i móc podążać za nimi bodaj pieszo, muszę sprzedać lichego konia, który mi dotąd służył.

Mimo iż młodzieniec opowiadał na pozór dość spokojnie, kończąc uronił kilka łez. Przygoda zdała mi się niezwykła i wzruszająca.

– Nie nalegam – rzekłem – aby mi pan odsłaniał tajemnice swego życia, ale jeśli mogę być w czym użyteczny, gotów jestem.

– Niestety! – odparł – nie widzę ani promyka nadziei. Trzeba mi poddać się srogości losu. Pojadę do Ameryki. Będę tam bodaj wolny obok tej, którą kocham. Pisałem do jednego z przyjaciół, przyśle mi niewielki zasilek do Havre-de-Grâce. Trudność jedynie w tym, aby się tam dostać i aby tej biednej istocie – dodał spoglądając smutno na kochankę – przynieść jakąś ulgę w drodze.

– Dobrze więc! – rzekłem – położę koniec pańskim kłopotom. Oto nieco pieniędzy, proszę, chciej pan przyjąć. Przykro mi, że nie mogę służyć mu w inny sposób.

Dałem mu cztery złote ludwiki bacząc, by strażnicy nie widzieli; sądziłem słusznie, iż gdyby podejrzewali go o posiadanie tej kwoty, drożej sprzedawaliby swe ustępstwa. Przyszło mi nawet do głowy zawrzeć z nimi układ i uzyskać dla młodego kochanka swobodę przebywania z ulubioną aż do Hawru. Dałem znak starszemu, aby się zbliżył, i zrobiłem tę propozycję. Mimo swej czelności zawstydził się nieco.

– To nie znaczy proszę pana – odparł z zakłopotaną miną – abyśmy mu bronili rozmowy z dziewczyną, ale ten pan chciałby bez przerwy być przy niej; to nam przysparza kłopotu, słuszne jest tedy, aby płacił za ten kłopot.

– No – rzekłem – ileż trzeba, aby ten kłopot przestał wam dolegać? Bezczelnik zażądał dwa ludwiki. Dałem mu je bez targu.

– Ale strzeż się – rzekłem – niech wam nie przyjdzie do głowy jakie szelmostwo; zostawię temu panu swój adres i bądźcie pewni, iż w razie czego potrafię was ukarać.

Cała przygoda kosztowała mnie wtedy sześć ludwików.

Uprzejmość i serdeczność, z jaką nieznajomy mi dziękował, przekonały mnie do reszty, iż musiał to być chłopiec z dobrego domu, wart mej hojności. Nim odszedłem, zwróciłem się z paroma słowy do jego ukochanej. Odpowiedziała z tak słodką i uroczą skromnością, iż opuszczając gospodę nie mogłem się powstrzymać od tysiąca refleksji nad charakterem kobiet.

Wróciwszy do mej samotni nie od razu dowiedziałem się o dalszych kolejach tej przygody. Minęło blisko dwa lata; zapomniałem o niej do szczętu, kiedy przypadek dał mi sposobność poznania wszystkich jej okoliczności.

Przybyłem z Londynu do Calais z margrabią de***, moim wychowankiem. Stanęliśmy, jeśli mnie pamięć nie myli „Pod Złotym Lwem”, gdzie musieliśmy zostać całą dobę. Otóż w czasie przechadzki zdało mi się, iż spostrzegłem tego samego młodzieńca, którego niegdyś spotkałem był w Passy. Był lichy odziany, o wiele bledszy niż wówczas. Dźwigał starą walizkę; widać, dopiero co przybył. Mimo to fizjognomia jego zbyt była ujmująca, abym go nie poznał z łatwością.

– Musimy – rzekłem do margrabiego – zbliżyć się do tego młodego człowieka.

Skoro i on przypomniał sobie mą osobę, okazał radość żywszą nad wszelki wyraz.

– Ach, panie! – wykrzyknął całując mnie w rękę – mogę tedy raz jeszcze wyrazić panu mą niewygasłą wdzięczność.

Spytałem, skąd przybywa. Odparł, iż przybywa morzem z Havre-de-Grâce, dokąd niedawno temu wrócił z Ameryki.

– Wydaje mi się pan kuso z pieniędzmi – rzekłem – zechciej się udać „Pod Złotego Lwa”, gdzie stanąłem gospodą, a przybędę tam niebawem.

Wróciłem w istocie do domu, żądny dowiedzieć się szczegółów jego niedoli oraz owej podróży do Ameryki. Przyjąłem młodziana najserdeczniej, kazałem, aby mu nie zbywało na niczym. Nie czekał mych nalegań z opowieścią dziejów swego życia.

– Panie – rzekł – postępuje pan ze mną tak szlachetnie, iż wyrzucałbym sobie jak niską niewdzięczność, gdybym coś ukrywał przed panem. Chcę wyznać nie tylko swoje niedole i utrapienia, ale także moje zbłąkania i hańbę; jestem pewien, iż potępiając mnie nie odmówi mi pan równocześnie współczucia!

Muszę uprzedzić czytelnika, iż spisałem tę historię prawie natychmiast; tym samym może być pewien ścisłości opowiadania. Oddaje ono nawet refleksje i uczucia, jakim młody awanturnik dawał folgę, czyniąc to z nieporównanym wdziękiem.

Oto jego opowieść, do której nie przydam nic, co by nie pochodziło z jego ust:

Miałem siedemnaście lat i kończyłem studia filozoficzne w Amiens, dokąd rodzice, należący do jednego z najlepszych domów w P***, mnie wysłali. Prowadziłem tak stateczne i cnotliwe życie, iż nauczyciele dawali mnie za przykład. Nie znaczy to, bym dokładał nadzwyczajnych wysiłków dla zasłużenia ich pochwały. Mam usposobienie łagodne i spokojne; przykładałem się do nauk z dobrej woli. Poczytywano mi za cnotę to, co było jedynie naturalną odrzą do złego. Urodzenie moje, wyniki studiów i pewien powab zyskały mi sympatię i szacunek całego miasta.

Złożyłem egzamina z tak powszechnym zadowoleniem, iż obecny przy nich biskup nakłaniał mnie do stanu duchownego, gdzie jak powiadał, czeka mnie piękniejsza przyszłość niż w zakonie maltańskim, do którego przeznaczyli mnie rodzice. Z ich woli nosiłem już nawet krzyż z nazwiskiem kawalera des Grioux. Z nadejściem wakacji gotowałem się wrócić do ojca, który przyrzekł mnie wysłać niebawem do Akademii.

Kiedym opuszczał Amiens, jedynym mym żalem było, iż zostawiam tam serdecznego przyjaciela. Był o kilka lat starszy ode mnie. Chowaliśmy się razem, ale ponieważ rodzina jego znajdowała się w miernych stosunkach, zmuszony był przywdziać sukienkę duchowną i

zostać po moim wyjeździe w Amiens, aby tam podjąć zawodowe studia. Był to człowiek niezmiernych zalet. Dalszy ciąg mej historii da go poznać z najlepszych stron; wierność jego zwłaszcza i ofiarność w przyjaźni przewyższają najslynniejsze przykłady starożytności. Gdybym wówczas słuchał jego rad, byłbym pozostał rozsądny i szczęśliwy. Gdybym w otchłani, w jaką wtrąciły mnie namiętności, skorzystał choć z jego wymówek, byłbym bodaj coś ocalił z rozbicia mego losu i reputacji. Ale nie zebrał innego owocu starań prócz zgryzoty, iż patrzył na ich bezużyteczność. Ba, niekiedy nawet spotykała go twarda odpłata ze strony niewdzięcznika, który obrażał się o nie i poczytywał je za natręctwo!

Oznaczyłem porę wyjazdu. Niestety! Czemuż nie o dzień wcześniej! Byłbym zawiózł do rodzinnego domu pełnię mej niewinności. W wilię dnia, w którym miałem opuścić miasto, wybrałem się na przechadzkę z Tybercym. Widząc zbliżający się dyliżans z Arras, poszliśmy jego śladem aż do gospody, gdzie zatrzymują się wehikuły. Wiodła nas prosta ciekawość.

Wysiadło kilka kobiet, które rozeszły się szybko, ale jedna, bardzo młoda, przystanęła w dziedzińcu, gdy człowiek w podeszłym wieku, wyglądający na jej opiekuna, dobywał z walizki jakąś odzież. Wydała mi się tak urocza, że ja, który nigdy nie poświęciłem ani jednej myśli różnicom płci ani też nie spojrzałem baczniej na kobietę, ja, powiadam, którego roztropność i skromność były przedmiotem ogólnego podziwu, zapłonąłem w jednej chwili aż do szaleństwa. Miałem tę wadę, że byłem nadzwyczaj nieśmiały i łatwy do zbicia z tropu; ale w tym wypadku wszystko to gdzieś się podziało; nie wahając się ani chwili zbliżyłem się do pani mego serca.

Mimo iż jeszcze młodsza ode mnie, przyjęła mą dwomość bez śladu zakłopotania. Spytałem, co ją sprowadza do Amiens i czy posiada tu znajomych. Odpowiedziała po prostu, że przysłali ją rodzice w zamiarze uczynienia z niej mniszki. Miłość, mimo iż gościła w mym sercu zaledwie chwilę, zdążyła mnie na tyle oświecić, że zamiar ten odczułem jako śmiertelny cios dla mych pragnień. Sposób, w jaki się zachowywałem, pozwalał młodej osobie domyślić się mych uczuć, była bowiem o wiele doświadczeńsza ode mnie. Oddawano ją do klasztoru wbrew jej woli, prawdopodobnie, aby położyć tamę skłonności do uciech, która objawiła się już wówczas i która później stała się przyczyną wszystkich jej i moich nieszczęść. Próbowałem zwalczać okrutny zamysł rodzicielski za pomocą obfitych argumentów, jakich rodząca się miłość i scholastyczna wymowa zdołały mi dostarczyć. Nieznajoma nie siliła się udawać srogości ani wzgardy. Rzekła po chwili milczenia, iż przewiduje aż nadto, że będzie nieszczęśliwa; ale (dodała) taka snadź jest wola nieba, skoro nie zostawia jej ono żadnego środka do uniknięcia tej doli. Słodczy jej spojrzeń, uroczy smutek towarzyszący tym słowom, a raczej może los, który ciągnął mnie do zguby, nie pozwoliły mi ani chwili wahać się z odpowiedzią. Upewniłem panienkę, że jeśli zechce polegać na mym honorze i na bezgranicznej czułości, jaką zdołała we mnie obudzić, poświęcę życie, by ją uwolnić z tyranii rodziców i uczynić szczęśliwą. Zastanawiając się później nad całym zdarzeniem, dziwiłem się tysiąc razy, skąd mi się wzięła taka śmiałość i łatwość słowa: nie uczyniono by Miłości bóstwem, gdyby nie działała cudów! Oświadczyły te poparłem mnóstwem argumentów.

Piękna nieznajoma wiedziała dobrze, że w moim wieku nie nawykło się zwodzić; odparła wręcz, iż gdybym widział jaki sposób wyrwania jej z niewoli, zawdzięczałaby mi więcej niż życie. Powtarzałem, iż gotów jestem na wszystko, ale nie mając na tyle doświadczenia, aby na poczekaniu obmyślić środki, ograniczyłem się do zaklęć, które nie mogły zdać się na wiele. Stary Argus wracał i nadzieje nasze byłyby pogrzebane, gdyby urocza istotka nie posiadała sprytu na tyle, aby zastąpić mój niedostatek w tej mierze. Skoro opiekun się zbliżył, zaczęła ku memu zdumieniu tytułować mnie kuzynem. Nie zdradzając śladu pomieszanego rzekła, iż wobec szczęśliwego trafu, dzięki któremu spotkała mnie w Amiens, odłoży na jutro klasztor, dziś zaś pozwoli sobie zjeść wieczerzę w moim towarzystwie. Chwyciłem w lot nitkę tego podstępu; skłoniłem ją, aby stanęła w oberży, której gospodarz, długoletni woźnica w naszym domu, był mi zupełnie oddany.

Zaprowadziłem ją tam osobiście, mimo iż opiekun niezbyt zadowolony był z tej asysty. Tybercy, który nic nie rozumiał, szedł za mną bez słowa. Nie słyszał naszej rozmowy; przechadzał się po dziedzińcu, gdy ja prawilem czułości mojej pięknej pani. Ponieważ lękałem się jego rozsądku, wymyśliłem zlecenie, dziwki któremu udało mi się go oddalić. Tak więc, przyszedłszy do gospody, miałem szczęście znaleźć się sam na sam z królową mego serca.

Poznałem niebawem, że byłem mniej dzieckiem, niż mi się zdawało. Serce moje otwarło się dla tysiącznych uczuć, o których nie miałem pojęcia. Słodkie ciepło rozlało się po żyłach. Popadłem w oszołomienie, które odjęło mi na chwilę mowę i wyrażało się tylko oczami.

Panna Manon Lescaut (okazało się, że tak brzmi jej nazwisko) była wyraźnie rada z tego działania swych powabów. Zdawało mi się, że jest nie mniej wzruszona ode mnie. Zwierzyła mi, że się jej spodobałem i że byłaby szczęśliwa, gdyby mnie mogła zawdzięczać swą wolność. Chciała wiedzieć, kim jestem; odpowiedź pomnożyła jej sympatię, ponieważ będąc sama z gminu uczuła się mile pogłaskana zdobyczą takiego kochanka. Cały wieczór zastanawialiśmy się nad sposobem połączenia naszych losów.

Ostatecznie nie znaleźliśmy innej drogi jak tylko ucieczkę. Trzeba było oszukać czujność opiekuna, człowieka, z którym musieliśmy się liczyć, mimo że był tylko sługą. Ułożyliśmy, że się postaram w nocy o konie i zjawię się w gospodzie wczesnym rankiem, nim on się obudzi; wymkniemy się potajemnie i pośpieszymy prosto do Paryża, gdzie się zaraz pobierzemy. Miałem około pięćdziesięciu talarów, owoc drobnych oszczędności. Manon posiadała mniej więcej dwa razy tyle. Wyobraziliśmy sobie, jak dzieci nie znające życia, że suma ta nie skończy się nigdy; w tej samej mierze rachowaliśmy na powodzenie innych zamysłów.

Wieczera spłynęła mi wśród rozkoszy, jakiej dotąd nie zaznałem. Wreszcie opuściłem gospodę, aby zająć się mym planem. Było to tym łatwiejsze, ile że mając zamiar wrócić naza jutrz do domu, byłem gotów do podróży. Przenieść walizę i przygotować pojazd na piątą rano nie przedstawiało trudności; była to pora, o której bramy miasta już są otwarte. Ale spotkałem przeszkodę, której się nie spodziewałem i która omal nie zniweczyła mego zamiaru.

Tybercy, mimo iż tylko o trzy lata starszy ode mnie, był to chłopiec wytrawny i stateczny. Kochał mnie czule. Widok ładnej dziewczyny, skwapliwość, z jaką jej towarzyszyłem, sposób, w jaki pod błahym pozorem pozbyłem się go, wszystko to zbudziło w nim podejrzenia. Nie śmiał wrócić do gospody, gdzie nas zostawił, bojąc się obrazić mnie swym powrotem, ale czekał na mnie w domu, gdzie zastałem go wracając, mimo że była dziesiąta. Wizyta ta była mi mocno nie na rękę, czego nie mógł nie spostrzec.

– Jestem pewien – rzekł bez ogródki – że układasz jakieś plany, które chcesz ukryć przede mną; widzę to z twojej miny.

Odpowiedziałem szorstko, że nie mam obowiązku zdawać mu sprawy ze wszystkich zamiarów.

– Nie – odparł – ale zawsze odnosiłeś się do mnie jak do przyjaciela, a to uczucie pozwala żądać nieco otwartości i zaufania.

Nalegał tak usilnie, iż nie nawykły ukrywać przed nim cokolwiek, zwierzyłem się z mej miłości. Słuchał z wyraźnym niezadowoleniem, które przejęło mnie dreszczem. Żalowałem nieopatrzności, z jaką odkryłem zamiar ucieczki. Rzekł, iż nadto jest moim przyjacielem, aby mi się nie sprzeciwiać całą mocą; chce mi najpierw przedstawić wszystko, co może mnie odwieść od zamiaru; jeśli zaś mimo to nie porzucę szalonego planu, nie zawaha się ostrzec osoby, które będą go umiały udaremnić. Oracja jego trwała przeszło kwadrans i skończyła się groźbą skargi przed ojcem, o ile nie dam słowa, że będę rozsądny.

Byłem w rozpacz, iż zdradziłem się tak nie w porę. Jednakże – jako że miłość niepospolicie rozbudziła mój dowcip – zauważyłem, iż nie wspomniałem nic o tym, że zamiar ma się spełnić nazajutrz. Postanowiłem wywieść go w pole.

– Tybercy – rzekłem – sądziłem, że jesteś mym przyjacielem, i chciałem cię wypróbować tą opowieścią. Prawda, jestem zakochany; nie zwiodłem cię, ale co się tyczy ucieczki, nie jest

to rzecz, na którą bym się ważył tak lekko. Zajdź do mnie jutro o dziewiątej, zapoznam cię, jeśli możebna, z mą ukochaną. Osądzisz, czy zasługuje, abym uczynił ten krok dla niej.

Zostawił mnie samego po tysiącnych zakłękach przyjaźni.

Obróciłem noc na przygotowanie wszystkiego; pobiegłszy przed świtem do Manon zastałem ją już na nogach. Stała w oknie od ulicy, spostrzegłszy mnie zeszła otworzyć. Wyszliśmy bez hałasu. Nie miała z sobą nic prócz trochę bielizny; wziąłem jej zawiniątko, wehikuł był gotów, ruszyliśmy natychmiast.

Opowiem w dalszym ciągu, jak sobie postąpił Tybercy, skoro spostrzegł, że go oszukał. Przyjaźń jego bynajmniej nie ostygła. Ujrzy pan, dokąd ją posunął i ile łez musiałem wylać wspominając, jaka była jej nagroda.

Uciekaliśmy z takim pośpiechem, iż przybyliśmy przed nocą do Saint-Denis. Pędziłem konno obok pojazdu, wskutek czego mogliśmy rozmawiać jedynie na postojach, ale skorośmy się ujrzeni blisko Paryża, to znaczy prawie bezpieczni, pozwoliliśmy sobie na pokrzepienie się, ile żeśmy nic nie wzięli do ust od wyjazdu. Mimo iż płomień, jakim pałałem dla Manon, nie mógł mieć równego sobie, umiała mi dać uczuć, iż serce jej niemniej mi jest przychylne. Byliśmy tak mało oględni w pojeniu się pieszczotą, że nie mieliśmy cierpliwości czekać, aż zostaniemy sami, Pocztylioni i gospodarz patrzyli na nas z zachwytem; zdumieni byli widokiem dwojga dzieciaków kochających się do szaleństwa.

Nasze matrymonialne zamysły poszły w Saint-Denis w zapomnienie; obeszlśmy przepisy kościoła i rozpoczęliśmy miodowy miesiąc ani wiedząc jak. Pewne jest, iż z moją tkliwą i stałą naturą zadowolilibym się całe życie tym szczęściem, gdyby Manon umiała być wierna. Im lepiej ją poznawałem, tym więcej odkrywałem przyczyn do kochania. Urok jej, słodycz, piękność tworzyły tak mocne i tak powabne kajdany, iż byłbym z radością został w nich na zawsze. Straszliwa odmiana! To, co się stało mą klęską, mogło stać się mą słodyczą. Otom jest najnieszczęśliwszy z ludzi przez tę samą stałość, od której powinienem był spodziewać się najśłodszego losu i najdoskonalszych nagród miłości.

Wynajęliśmy w Paryżu mieszkancko przy ulicy V..., na moje nieszczęście obok domu pana de B ***, słynnego generalnego poborcy. Upłynęły trzy tygodnie, przez które żyłem tak wyłącznie swą miłością, iż prawie nie pomyślałem o rodzinie ani o zgryzocie, jaką musiała sprawić ojcu moja ucieczka. Ponieważ nie miałem skłonności do hulanek, Manon zaś wiodła również życie nader stateczne, spokój, w jakim pędziliśmy dni, pozwolił się obudzić pamięci o mych obowiązkach.

Postanowiłem, o ile będzie możliwe, pojednać się z ojcem. Kochanka moja była tak uroczą, iż nie wątpiłem, że zdoła go sobie ująć, jeżeli znajdę sposób, aby mu dać poznać jej wartość i przymioty. Słowem, żywiłem nadzieję, iż uzyskam pozwolenie na małżeństwo; ocknąłem się bowiem ze złudzeń, bym tego mógł dokonać bez zgody rodziny. Podzieliłem się projektem z Manon dając do zrozumienia, iż poza miłością i obowiązkiem i konieczność kieruje nas na tę drogę. Fundusze nasze stopniały, zaczynałem tracić wiarę w ich wieczność. Manon chłodno przyjęła propozycję. Trudności wszakże, jakie czyniła, miały źródło w tkliwości dla mnie i w obawie postradania mnie, w razie gdyby ojciec nie przychylił się do mych zamiarów poznawszy w zamian miejsce naszego schronienia; toteż nie podejrzewałem ani trochę okrutnego ciosu, jaki mi gotowano Na wzmiankę o konieczności Manon odpowiedziała, iż zostało nam jeszcze środków na kilka tygodni, po upływie zaś tego czasu ma nadzieję znaleźć pomoc u krewnych, do których napisze. Odmowę swą złagodziła tak czułą i gorącą pieszczotą, że ja, który żyłem tylko nią i wierzyłem najzupełniej w jej serce, zgodziłem się bez oporu. Zostawiłem jej zarząd sakiewki i troskę o codzienne wydatki. Spostrzegłem pomału, że nasz stół zaczął być sutszy i że Manon sprawiła sobie jakieś kosztowne stroiki. Ponieważ wiedziałem, że wedle mego obliczenia zostało nam ledwie kilka pistolów, wyraziłem swoje zdumienie. Śmiejąc się prosiła, abym się nie kłopotał.

– Czyż ci nie obiecywałam – rzekła – że znajdę środki?

Kochałem ją zbyt naiwnie, aby łatwo powziąć obawę.

Jednego dnia wyszedłem po południu, zapowiadawszy, iż zabawię dłużej niż zazwyczaj. Zdziwiłem się, gdy za powrotem, nim mnie wpuszczono, kazano mi czekać parę minut pod drzwiami. Do usługi mieliśmy jedynie młodą dziewczynę mniej więcej w naszym wieku. Skoro otworzyła wreszcie, spytałem, czemu ociągała się tak długo. Odparła z widocznym zakłopotaniem, że nie słyszała. Pukałem tylko raz, rzekłem tedy:

– Skoroś nie słyszała, jakimż cudem otworzyłaś? Pytanie to zbiło ją z tropu; nie mając dość przytomności, aby coś odpowiedzieć, zaczęła płakać. Upewniała, że to nie jej wina, że pani zabroniła otwierać, póki pan de B*** nie wyjdzie tylnymi schodami. To, com słyszał, wstrząsnęło mną tak bardzo, że nie miałem siły wejść. Postanowiłem wyjść jeszcze pod jakimś pozorem, kazałem dziewczynie, by powiedziała pani, że wrócę za chwilę, nie zdradzając, że wiem coś o panu de B***.

Byłem tak wzruszony, że zbiegając po schodach uroniłem kilka łez, nie wiedząc jeszcze, jakie uczucie je wyciska. Wszedłem do kawiarni, usiadłszy oparłem głowę na rękach, próbując rozpatrzeć się w tym, co się dzieje w moim sercu. Nie śmiałem przypominać sobie tego, com usłyszał. Chciałem całe zajście uważać za złudzenie; kilkakrotnie byłem już gotów pośpieszyć do domu nie okazując, iż zwróciłem na cośkolwiek uwagę. Zdawało mi się tak niemożliwe, aby Manon mnie zdradziła, iż lękałem się podejrzeniem wyrządzić jej krzywdę. Ubóstwiałem ją, to pewna, dałem jej tyle dowodów miłości, sam otrzymując ich od niej może więcej jeszcze – czemu ją posądzać, że jest mniej szczerą i stała ode mnie? Jaki powód, aby mnie oszukiwać? Ledwie trzy godziny upłynęły od chwili, gdy mnie obsypywała najtkliwszymi pieścizkami i przyjmowała z uniesieniem moje; serce jej znałem jak własne. „Nie, nie – powtarzałem sobie – to niemożliwe, aby Manon mnie zdradziła. Wie, że żyję tylko dla niej, wie, że ją ubóstwiam. To nie powód chyba, aby mnie nienawidzić.”

Jednakże i bytność, i zniknięcie pana de B*** dawały mi do myślenia. Przypominałem sobie sprawunki Manon przekraczające niewątpliwie naszą możność. Trąciło to wyraźnie hojnością nowego wielbiciela. A ta ufność jej w jakieś bliżej nieokreślone środki? Trudno mi było znaleźć klucz do tylu zagadek.

Z drugiej strony, od czasu jak byliśmy w Paryżu, prawie nie rozstawałem się z nią. Zajęcia, przechadzki, zabawy – dzieliliśmy wszystko; mój Boże! chwila rozłąki byłaby zbyt ciężka. Trzeba nam było powtarzać sobie bez przerwy, że się kochamy, inaczej pomarlibyśmy z niepokojem. Nie mogłem sobie tedy wyobrazić ani jednej chwili, w której Manon mogłaby zaprzątnąć bodaj myśl kim innym niż mną.

Wreszcie (tak mniemałem) znalazłem wytłumaczenie. „Pan de B *** – rzekłem sobie – prowadzi wiele spraw i ma duże stosunki; krewni Manon uciekli się snadź do jego pomocy, aby jej przesłać zasilek. Może otrzymała już przedtem coś przez niego; dziś sam przyszedł wręczyć jej nową przesyłkę. Zrobiła sobie z pewnością tę uciechę, aby ukryć nowinę i sprawić mi tym większą niespodziankę. Byłaby może powiedziała mi wszystko, gdybym wrócił jak zwyczajnie, miast dręczyć się i błąkać po mieście; z pewnością wyzna mi, skoro ją sam zagadnę.”

Uwierzyłem w to tak mocno, że zdołałem zbyć się smutku. Wróciłem do domu. Uściskałem Manon serdecznie jak zwykle. Przyjęła mnie bardzo czule. Zrazu miałem pokusę odsłonić jej swoje domysły, które wydawały mi się coraz prawdopodobniejsze; wstrzymałem się w nadziei, że ona mnie uprzedzi opowiadając o całym zdarzeniu.

Dano wieczerzę. Siadłem do stołu z wesołą miną, ale przy blasku świecy stojącej między Manon a mną zdało mi się, że spostrzegam smutek w twarzy i oczach drogiej kochanki. Ta myśl i mnie natchnęła smutkiem. Zauważyłem, iż patrzy na mnie inaczej niż zwykle. Nie mogłem poznać, czy to miłość, czy żal; zdało mi się wszakże, że było to uczucie słodkie i tkliwe. Patrzałem na nią z równym przejęciem; i jej może trudno było osądzić z mych spoj-

rzeń stan mego serca. Nie mogliśmy ani mówić, ani jeść. Wreszcie ujrzałem łzy padające z jej pięknych oczu, obłudne łzy!

– Och, Boże – wykrzyknąłem – ty płaczesz, droga Manon; jesteś strapiona do łez i nie mówisz mi o swoich zgryzotach!

Odpowiedziała jedynie westchnieniem, które pomnożyło mój niepokój. Wstałem drżący; zakląłem ją, aby mi odkryła przyczynę łez; płakałem również, ocierając jej oczy; byłem nieprzytomny. Barbarzyńca wzruszyłby się widokiem mego bólu i lęku.

Gdy tak byłem wyłącznie zajęty moją Manon, usłyszałem hałas, jak gdyby kilka osób szło po schodach. Ktoś zapukał lekko. Manon ucałowała mnie i wysuwając się z mych ramion, przeszła do alkierza zamykając spiesznie za sobą. Wyobrażałem sobie, iż będąc niezupełnie ubrana lęka się oczu obcych. Poszedłem otworzyć.

Zaledwie otwarłem, uczułem, iż chwytą mnie trzech ludzi; poznałem służących ojca. Nie czynili mi gwałtu, dwóch wszakże ujęło mnie za ręce, trzeci zaś przeszukał kieszenie, z których wydobył nożyk, jedyny metalowy sprzęt, jaki miałem przy sobie. Prosimi, abym darował im to uchybienie; oświadczyli, iż działają z rozkazu ojca i że starszy brat czeka na dole w kolasce. Byłem tak zaskoczony, iż dałem się sprowadzić bez oporu i bez odpowiedzi. Brat, w istocie, czekał na mnie. Posadzono mnie w kolasce, woźnica zaś otrzymawszy rozkaz powiózł nas tęgim kłusem aż do Saint-Denis. Brat uściśkał mnie czule, ale nie odzywał się nic, tak iż miałem swobodę dumania nad swym nieszczęściem.

Sprawa wydała mi się zrazu tak ciemna, że nie wiedziałem zgoła, co myśleć. Ktoś zdradził mnie niegodziwie, ale kto? Zrazu przyszedł mi na myśl Tybercy. „Zdrajco – mówiłem w duchu – ostatnia twoja godzina wybiła, jeśli podejrzenia okażą się słuszne.” Zastanowiłem się wszakże, że nie znał mego schronienia, tym samym nie mógł go zdradzić. Podejrzewać Manon – na taką zbrodnię serce moje nie mogło się ważyć! Jej smutek, łzy, czuły pocałunek, jakim mnie obdarzyła wychodząc, były wprawdzie dość zagadkowe, ale raczej byłem skłonny tłumaczyć je przecuciem wspólnego nieszczęścia. Pograżony w rozpacz przez zły los, który wydzierał mnie z objęć Manon, byłem dość łatwowierny, aby sobie wyobrażać, że ona jest jeszcze godniejsza współczucia.

W rezultacie doszedłem do przekonania, że ktoś znajomy musiał mnie spostrzec na ulicy i powiadomić ojca. Myśl ta pocieszyła mnie. Liczyłem, iż sprawa skończy się na wymówkach lub karze domowej, której trzeba będzie się poddać przez wzgląd na powagę ojcowską. Po- stanowiłem znieść wszystko i przyrzec, czego zażądają, aby w zamian móc tym rychlej po- spieszyć do Paryża, wrócić życie i szczęście drogiej Manon.

W krótkim czasie przybyliśmy do Saint-Denis. Brat, zdziwiony mym milczeniem, przypisywał je obawie. Próbował mnie pocieszyć upewniając, iż nie mam przyczyn lękać się zbytnio srogości ojcowskiej, byłem okazał chęć powrotu na drogę obowiązku i starał się zasłużyć przywiązanie rodzica. Przenocowaliśmy w Saint-Denis, przy czym dla ostrożności trzech lokaje spali w mym pokoju.

Z bólem zauważyłem, iż zajechaliśmy do tej samej gospody, w której zatrzymałem się w drodze z Amiens. Gospodarz i służba poznali mnie i odgadli treść mojej przygody. Słyszałem, jak gospodarz mówił:

– A, to ten panicz, który przejeżdżał tędy z młodą panienką. Boże, jak oni się kochali, jaka ona była śliczniutka! Biedne dzieci, tak czulili się z sobą! Dalibóg, szkoda, że ich rozdzieli- no!

Udawałem, że nie słyszę, i pokazywałem się, jak mogłem najmniej.

Brat zamówił w Saint-Denis kolaszkę na dwie osoby; ruszyliśmy skoro świt, przybyliśmy nazajutrz wieczór. Stał przed ojcem najpierw sam, aby go nastroić na mą korzyść, opowia- dając, z jaką uległością dałem się sprowadzić; jakoż spotkało mnie przyjęcie lepsze, niż się spodziewałem. Ojciec poprzestał na wymówkach, wytykając błąd, jaki popełniłem oddalając się bez pozwolenia. Co się tyczy mej kochanki, zasłużyłem (zdaniem ojca) na to, co mi się

zdarzyło, oddając się w ręce nieznajomej; miał lepsze mniemanie (mówił) o mej rozwadze, ale spodziewa się, że ta przygoda uczyni mnie ostrożniejszym. Wziąłem te słowa w sensie zgodnym z moimi myślami. Podziękowałem ojcu za jego dobroć, przyrzekłem wejść na drogę uległości i statku. W głębi tryumfowałem: rzeczy układały się tak, iż nie wątpiłem, że będę mógł się wymknąć jeszcze tej nocy.

Cała rodzina zebrała się u stołu, żartowano po trochu z mej zdobyczy i z romantycznej ucieczki z tak wierną kochanką. Znosiłem cierpliwie przycinki; byłem nawet szczęśliwy, iż mogę rozmawiać o przedmiocie, który zaprzętał mą duszę. Wtem kilka słów ojca sprawiło, że nastawiłem ucha. Mówił o przewrotności i o interesownej usłudze pana de B***. Zmartwiałem słysząc to nazwisko; prosiłem pokornie ojca, aby się jaśniej wytłumaczył. Ojciec zwrócił się do brata pytając, czy nie opowiedział mi całego zdarzenia. Brat odparł, iż w drodze wydałem mu się tak spokojny, że nie uważał za potrzebne uciekać się do tego lekarstwa. Zauważyłem, iż ojciec waha się, czy ma dokończyć. Błagałem tak usilnie, iż zadowolili mnie lub raczej zamordował wieścią najstraszliwszą w świecie.

Spytał wpierw, czy wciąż jestem tak naiwny, aby wierzyć, iż moja luba mnie kocha. Odparłem śmiało, że jestem tego tak pewny, iż nic nie może we mnie zbudzić cienia wątpliwości.

– Ha! ha! ha! – wykrzyknął śmiejąc się do rozpuku – to doskonale! Dudek z ciebie, podoba mi się taka naiwność. W istocie, szkoda, mój dobry kawalerze, oddawać cię do zakonu maltańskiego, skoro masz tyle przymiotów na wygodnego męża.

Dorzucił jeszcze tysiąc drwinek na temat mej rzekomej naiwności.

Gdy wciąż trwałem w osłupieniu, ojciec wyłożył mi, iż wedle rachuby opartej na datach Manon kochała mnie około dwunastu dni.

– Wiem, że wyjechałeś z Amiens dwudziestego ósmego ubiegłego miesiąca, dziś mamy dwudziesty dziewiąty; przed jedenastu dniami pan de B *** pisał do mnie. Przypuszczam, że trzeba mu było około tygodnia, aby zwąchać się z twą ukochaną; jeśli zatem odjąć jedenaście plus osiem od trzydziestu jeden, zostaje dwanaście, ot, jeden dzień więcej, jeden mniej.

Tu zaczął na nowo pękać ze śmiechu.

Słuchałem z tak ściśniętym sercem, iż lękałem się, że nie zdołam wytrwać do końca tej smutnej komedii.

– Dowiedz się zatem – podjął ojciec – jeżeli nie wiesz, że pan de B*** pozyskał serce twojej donny; są to bowiem czyste drwiny z jego strony, kiedy mnie chce przekonywać, iż postarał się odbić ci ją jedynie przez chęć oddania mi przysługi. Człowiek taki jak on, któremu zresztą nie mam zaszczytu być znany! Właśnie po nim można się spodziewać tak szlachetnych uczuć! Dowiedział się od niej, że jesteś moim synem, i aby się uwolnić od ciebie, doniósł mi o miejscu twego pobytu i sposobie życia dodając, iż trzeba silnej eskorty, aby dojść z tobą do ładu. Ofiarował się ułatwić mi ujęcie cię; dzięki wskazówkom jego, jak również twej kochanki, brat zdołał cię wziąć bez oporu. Bądźże teraz dumny ze swego tryumfu! Umiesz zwycięzać szybko, kawalerze, ale nie umiesz zachować zdobyczy.

Nie miałem sił znieść tego dłużej; każde słowo było dla mnie pchnięciem w serce. Wstałem, ale ledwie uczyniłem kilka kroków, padłem bez zmysłów. Ocucono mnie. Otworzyłem oczy jedynie po to, aby wylać potoki łez, usta zaś, aby dać folgę żalosnym skargom. Ojciec, zawsze czule do mnie przywiązany, dołożył wszelkich starań, aby mnie pocieszyć. Zaledwie go słyszałem. Padłem mu do nóg, zaklinałem, aby mi pozwolił wrócić do Paryża; chciałem zasztyletować nikczemnego de B***.

– Nie – mówiłem – on nie pozyskał serca Manon; zadał jej gwałt, uwiódł ją jakimiś czarami lub trucizną, zniewolił może siłą. Manon kocha mnie. Czyż nie jestem tego pewny? Zagroził jej sztyletem, zmusił, aby mnie opuściła. Czegóż by nie uczynił, aby mi wydrzeć tak uroczą kochankę! O bogowie! bogowie! czyż to możliwe! Manon zdradziła mnie, przestała kochać?

Ponieważ mówiłem wciąż o rychłym powrocie i zrywałem się co chwilę, ojciec doszedł do przekonania, iż w obecnym stanie nic nie zdołałoby mnie wstrzymać. Zaprowadził mnie do pokoju na piętrze i zalecił dwóm służącym, aby mnie nie spuszczały z oka. Nie mogłem się opamiętać; byłbym oddał tysiąc razy życie, aby być bodaj na kwadrans w Paryżu. Zrozumiałem, iż wobec mej zapowiedzi nie pozwolą mi tak łatwo wyjść z pokoju. Mierzyłem oczami wysokość okien. Nie widząc możliwości wymknienia się tą drogą, zwróciłem się łagodnie do mych stróżów. Tysiącem przysiąg zobowiązałem się zapewnić im kiedyś los, jeśli zechcą pomóc mi w ucieczce. Nalegałem, schlebiałem, groziłem – na próżno. Straciłem wówczas całą nadzieję; postanowiłem umrzeć; rzuciłem się na łóżko w zamiarze opuszczenia go jedynie wraz z życiem. Noc i dzień spędziłem w tym położeniu. Odrzuciłem pożywienie, jakie mi przyniesiono nazajutrz.

Ojciec zaszedł do mnie po południu. W dobroci swojej próbował ukoić me cierpienia najśłodszymi słowy. Kazał mi bezwarunkowo zjeść coś, uległem przez szacunek. Upłynęło kilka dni; nie jadłem nic, chyba w obecności ojca. Wciąż przytaczał mi racje zdolne, jego mniemaniem, przywieść mnie do rozumu i obudzić wzgardę dla niewiernej. Niewątpliwie straciłem dla niej szacunek; jak mógłbym szanować najbardziej płochą i przewrotną istotę na ziemi? Ale jej obraz, urocze rysy wyciśnięte w głębi serca żyły w nim ciągle. Czułem to.

– Mogę umrzeć – mówiłem – powinienem nawet po takim wstydzie i bólu, ale raczej ścierpię tysiąc razy śmierć, niż zdołam zapomnieć o niej.

Ojciec patrzył na mnie zdziwiony. Znał mą drażliwość na punkcie honoru; nie mogąc wątpić, iż zdrada Manon musiała wzbudzić we mnie pogardę, wyobraził sobie, że moja stałość wypływa nie tyle z miłości dla niewiernej, ile z ogólnej skłonności do płci niewieściej. Przejął się tak tą myślą, iż wiedziony czułą troskliwością przyszedł raz pomówić ze mną w tym duchu.

– Kawalerze – rzekł – miałem dotychczas zamiar przypiąć ci krzyż maltański, ale widzę, że twoje skłonności nie godzą się z tym powołaniem. Lubisz kobietki, trudno, trzeba ci znaleźć jaką, która by ci przypadła do smaku. Powiedz otwarcie, co o tym myślisz.

Odpowiedziałem, że nie czynię różnicy między kobietami i że po nieszczęściu, jakiego padłem ofiarą, wszystkie budzą we mnie jedynie nienawiść.

– Znajdę ci dziewczuszkę – odparł ojciec z uśmiechem – która będzie podobna do Manon, a wierniejsza.

– Ach, ojczy, jeśli masz dla mnie trochę serca – rzekłem – ją samą zechcesz mi wrócić! Bądź pewny, ojczy, ona mnie nie zdradziła, nie jest zdolna do takiej podłości. To przewrotny de B*** oszukuje nas: ciebie, ją i mnie. Gdybyś wiedział, ojczy, jaka ona tkliwa i szczerą! gdybyś ją znał, sam byś ją pokochał.

– Dziecko z ciebie – odparł ojciec. – Jak możesz po tym, com ci powiedział, łudzić się do tego stopnia? To ona wydała cię w ręce brata. Powinien byś zapomnieć nawet jej imienia i jeśli jesteś rozsądny, korzystać z dobroci, jaką ci okazuję.

Widziałem zbyt jasno słuszność tych słów. Odruch jedynie kazał mi się ujmować tak wytrwale za niewierną.

– Niestety! – podjąłem po chwili – aż nadto prawdą jest, iż stałem się ofiarą nikczemności. Tak – ciągnąłem lejąc łzy żalu – widzę, że jestem tylko dzieckiem. Niewiele trzeba było, aby mnie oszukać. Ale wiem, co mi należy uczynić, aby się zemścić.

Ojciec nalegał, abym mu zwierzył swój zamiar.

– Udam się do Paryża – rzekłem – podłożę ogień w domu de B*** i spalę go żywcem wraz z przewrotną Manon.

Wybuch ten ubawił ojca i sprawił jeno tyle, iż strzeżono mnie tym pilniej.

Spędziłem tak pół roku. Pierwszy miesiąc mało przyniósł zmian. Wszystkie me uczucia obracały się dokoła nienawiści i miłości, nadziei i rozpacz, wedle obrazów, w jakich Manon ukazywała się moim myślom. To wspominałem najrozkoszniejszą kochankę i usychałem z

pragnienia, to znów widziałem nikczemną i zdradziecką istotę i przysięgałem sobie, iż odnajdę ją jedynie po to, aby ją ukarać.

Dostarczono mi książek, które pozwoliły mej duszy odzyskać nieco spokoju. Odczytywałem ulubionych autorów. Zbogaciłem me wiadomości. Nabrałem znowu upodobania w nauce. Zobaczy pan, na co mi się to zdało! Moje doświadczenia sercowe pozwoliły mi zrozumieć wiele ustępów z Horacego i Wirgiliusza, wprzód dla mnie ciemnych. Sporządziłem komentarz miłośny do czwartej księgi Eneidy; przeznaczam go do druku i sędzę, że publiczność będzie zeń zadowolona. Niestety! powtarzałem sobie przy tej pracy: „Takie serce jak moje godne byłoby wiernej Dydony.”

Pewnego dnia Tybercy zaszedł mnie odwiedzić. Zdziwiony byłem wzruszeniem, z jakim mnie uściśkał. Nie umiałem jeszcze widzieć w jego przywiązaniu coś więcej niż zwykłą przyjaźń z ławy szkolnej, jaką zawierają młodzi rówieśnicy. Znalazłem go tak zmienionym i dojrzałym przez tych kilka miesięcy, iż wyraz jego, jak również jego ton natchnęły mnie szcunkiem. Mówił raczej jak mądry doradca niż jak kolega. Ubolewał nad moim zbłąkaniem. Winszował mi uleczenia, o którym wnioskowałem zbyt pochopnie, upominał wreszcie, bym korystając z tego błędu i otworzył oczy na znikomość rozkoszy. Patrzałem nań zdumiony; zauważył to.

– Drogi kawalerze – rzekł – wszystko, co ci powiadam, to są niezłomne prawdy; doszedłem do nich drogą poważnych roztrząsań. Miałem tyleż co i ty skłonności do rozkoszy, ale równocześnie niebo dało mi i miłość cnoty. Przywołałem na pomoc rozum, aby porównać ich owoce; jakoż niebawem zdołałem odkryć różnice. Łaska nieba przysłała mi z pomocą. Powziąłem dla świata wzgardę, z którą nic nie da się porównać. Czy odgadniesz, co mnie w nim zatrzymuje – dodał – i co mi broni schronić się w samotnię? Jedynie przyjaźń dla ciebie. Znam twe serce i umysł; nie ma tak wysokich stref, które by ci nie były dostępne. Jakaż strata dla cnoty! Ucieczka twoja z Amiens sprawiła mi tyle bólu, iż od tej pory nie zaznałem chwili radości. Sądź o tym po krokach, do jakich mnie ta boleść popchnęła.

Tu opowiedział mi wszystko. Spostrzegłszy, że go oszukał i uciekł z kochanką, siadł na koń, aby śpieszyć za mną. Ponieważ zyskałem kilka godzin, nie mógł mnie doścignąć; przybył do Saint-Denis tuż po moim odejściu. Będąc pewien, iż zatrzymałem się w Paryżu, spędził tam sześć tygodni, szukając na próżno; obchodził wszystkie miejsca, gdzie miał nadzieję mnie spotkać. Wreszcie jednego dnia w teatrze poznał Manon; ubrana była tak wspaniale, iż domyślił się, że zawdzięcza ten przepych hojności nowego kochanka. Udał się za jej powozem i dowiedział się od służącego, iż żyje kosztem pana de B***.

– Nie poprzestałem na tym – ciągnął – wróciłem nazajutrz, aby się dowiedzieć od niej samej, co się z tobą stało. Kiedy usłyszała twoje imię, przerwała nagle rozmowę i opuściła mnie; trzeba mi było wrócić na prowincję bez żadnego wyjaśnienia. Tu dowiedziałem się o twojej przygodzie i o stanie, w jaki cię wtrąciła, ale wolałem odłożyć wizytę do chwili, gdy będziesz spokojniejszy.

– Widziałeś Manon? – odparłem wzdykając. – Ach! szczęśliwszy jesteś ode mnie, skazanego na to, by nie oglądać jej nigdy!

Skarcił mnie łagodnie za to westchnienie, które zdradzało jeszcze słabość serca. Chwalił tak zręcznie zacność mego charakteru, iż od pierwszych odwiedzin zbudził we mnie ochotę, aby jak on wyrzec się świata i obrać stan duchowny.

Myśl ta spodobała mi się do tego stopnia, iż skorom się znalazł sam, nie zajmowałem się już niczym innym. Przypominałem sobie rozmowę z biskupem w Amiens oraz szczęśliwe nadzieje, jakie rokował mi, w razie gdybym skierował się na tę drogę. Szczera pobożność również przyczyniła się do mego postanowienia. „Będę wiodł życie cnotliwe i chrześcijańskie – mówiłem sobie – będę się zajmował nauką i religią, które nie pozwolą mi myśleć o niebezpiecznych rozkoszach. Wzgardzę tym, co pospólstwo wielbi, że zaś pewien jestem, iż serce

moje będzie zdolne pragnąć jedynie tego, co szanuję, będę równie wolny od niepokojów, co od pragnień.”

Na tej podstawie ułożyłem plan spokojnego i samotnego życia. W obraz jego wchodził domek z gaikiem i źródłem w ogrodzie, biblioteka złożona z wybranych książek, szczupła liczba cnotliwych i roztropnych przyjaciół, stół przyzwoity, ale skromny. Okraśliłem to jeszcze listowną wymianą myśli z przyjacielem, który by bawił w Paryżu i donosił mi o wydarzeniach publicznych nie tyle, aby zadowolić ciekawość, ile aby mnie rozerwać obrazem miotań się i niepokojów ludzkiego szaleństwa. „Czyż nie będę szczęśliwy? – dodawałem w duchu – czyż to nie będzie ziszczenie wszystkich mych pragnień?” To pewna, że projekt ten zgodny był z moimi skłonnościami. Ale jako uwieńczenie tak roztropnego planu czułem, iż serce oczekuje jeszcze czegoś i że aby niczego mu nie zbywało w uroczej samotni, trzeba by w niej Manon!

Tybercy zachodził często, aby mnie umocnić w zamiarze. Wreszcie przy sposobności zwierzyłem się ojcu. Odpowiedział, że pragnie zostawić dzieciom swobodę i że w jaki bądź sposób zechce rozrządzić sobą, on zastrzega sobie jedynie prawo wspierania mnie radą. Udzielił mi, w istocie, wielu roztropnych wskazówek, zmierzających nie tyle ku temu, aby mnie zrazić do mego zamysłu, ile mających sprawić, abym go powziął z pełną świadomością.

Zbliżał się początek roku szkolnego. Umówiłem się z Tybercem, że wstąpimy razem do Saint-Sulpice, on – aby kończyć studia, ja – aby je rozpocząć. Cnoty jego, znane biskupowi, sprawiły, iż przed wyjazdem otrzymał znaczne beneficjum.

Ojciec sądząc, że uleczyłem się już z mej namiętności, nie czynił przeszkód. Przybyliśmy do Paryża; sukienka duchowna zajęła miejsce maltańskiego krzyża, a nazwisko księdza des Grieux miejsce dawnego kawalera. Zatopiłem się w nauce tak, iż w niewiele miesięcy uczyniłem nadzwyczajne postępy. Siedziałem nad książką późno w noc, a nie traciłem ani chwili dnia. Reputacja moja rozeszła się tak szeroko, iż winszowano mi zawczasu przyszłych godności; bez starań nazwisko moje znalazło się na liście beneficjów. Nie zaniedbywałem i praktyk, z zapalem oddawałem się religijnym ćwiczeniom. Tybercy był zachwycony tym, co uważał za swoje dzieło; nieraz widziałem, jak wylewał łzy szczęścia spowodowane moim – jak nazywał – nawróceniem.

To, iż postanowienia ludzkie mogą ulegać zmianom, nie dziwiło mnie nigdy; jedna namiętność je rodzi, druga niweczy. Ale kiedy myślę o świętości uczuć, jakie mnie zawiodły do Saint-Sulpice, o radości, której niebo pozwoliło mi tam kosztować, przeraża mnie łatwość, z jaką mogłem je skruszyć. Jeśli prawdą jest, iż pomoc niebios w każdej chwili równa jest co do siły porywom namiętności, niech mi ktoś wytłumaczy, jaka złowroga potęga odrywa nagle człowieka od jego obowiązków, tak że nie jest zdolny do oporu i nie czuje nawet cienia wyrzutu.

Sądziłem, że jestem wyzwolony z pokus miłości. Zdawało mi się, iż stronicę św. Augustyna lub kwadrans medytacji przełożyłbym nad wszystkie uciechy zmysłów, nie wyłączając Manon. Tymczasem jedna nieszczęsna chwila wtrąciła mnie z powrotem w przepaść; a upadek mój stał się tym bardziej bez ratunku, iż znalazłszy się od jednego zamachu równie głęboko, jak byłem niegdyś, niebawem przez nowe wybryki osunąłem się na samo dno.

Spędziłem w Paryżu blisko rok, nie dowiadując się o Manon. Kosztowało mnie to zrazu wiele, ale rady Tybercego i własna rozważa pozwoliły mi osiągnąć to zwycięstwo. Ostatnie miesiące upływały tak spokojnie, iż uważałem się bliskim wiekuistego zapomnienia uroczej i przewrotnej istoty. Nadszedł czas, w którym miałem podtrzymać dysputę wobec pełnego fakultetu; zaprosiłem kilka szanownych osób, aby zaszczyliły zebranie. W ten sposób nazwisko moje rozeszło się po Paryżu i doszło uszu zdradzieckiej istoty. Nie poznała go z pewnością pod duchownym godłem, ale resztką ciekawości lub może cień wyrzutu, że mnie tak zdradziła (nie mogłem nigdy dociec, które z tych uczuć), sprawiły, iż zainteresowało ją nazwisko tak

podobne do mego; przybyła do Sorbony z kilkoma damami. Była przy dyspucie i bez wątpienia łatwo zdołała sobie przypomnieć me rysy.

Nie miałem najmniejszego pojęcia o obecności Manon. Wiadomo, iż w salach przeznaczonych na te ceremonie znajdują się łoże dla pań, skąd mogą się przysłuchiwać ukryte za żaluzją. Wróciłem do Saint-Sulpice okryty chwałą, obsypany powinszowaniami. Była szósta. W chwilę po powrocie dano mi znać, że jakaś dama pragnie mówić ze mną. Udałem się do rozmownicy. Boże! co za zjawisko! zastałem Manon. Tak, to była ona, ale bardziej urocza, świetniejsza niż kiedykolwiek. Była wówczas w kwiecie ośmnastu lat. Powaby jej przewyższały wszystko, co można opisać: wejrzenie tak łube, tak słodkie, tak pociągające – wcielona Miłość, Pokusa, w jednej osobie. Cała postać wydała mi się istnym czarem.

Oniemiałem; nie mogąc odgadnąć celu wizyty stałem ze spuszczonej oczami, drżący, czekałem wyjaśnienia. Przez jakiś czas i ona była równie zakłopotana, wreszcie widząc, że wciąż milczę, zasłoniła rękami oczy, aby ukryć kilka łez. Rzekła nieśmiało, że wie, iż zdrada jej zasługuje na mą nienawiść; ale jeśli prawdą jest, iż miałem dla niej jakieś uczucie, było też bardzo okrutne z mej strony nie zatroszczyć się o nią i nie dać znać o sobie całe dwa lata. Okrucieństwo jest również (mówiła) patrzeć na stan, w jaki wprawia ją moja obecność, i nie odezwać się ani słowem. Nie umiałbym opisać, co się działo w mej duszy, gdy słuchałem jej głosu.

Usiadła. Stałem z na wpół odwróconą głową, nie śmiejąc na nią spojrzeć. Zaczynałem kilkakrotnie mówić, nie miałem siły. Wreszcie zdołałem wykrzyknąć boleśnie:

– Niewierna Manon! Och! niewierna, niewierna!

Płacząc gorącymi łzami, powtarzała, że nie próbuje usprawiedliwiać swej zdrady.

– Czegóż chcesz tedy? – krzyknąłem.

– Chcę umrzeć – odparła – jeśli nie wrócisz mi serca, bez którego nie umiem żyć.

– Żądaj więc życia mego, zdrajczyni! – odparłem, sam wylewając strumienie łez, które próżno starałem się wstrzymać. – Żądaj życia, jedynej rzeczy, jaką rozporządzam jeszcze, serce nigdy nie przestało być twoim.

Ledwie wyrzekł te słowa, Manon zerwała się, aby mnie uściskać. Obsypała mnie tysiącem pieszczot, wołała wszystkimi imionami miłości. Odpowiadałem współbłędny. Jakież bo, w istocie, przejście od spokoju dotychczasowego życia do burz, które zaczynałem odczuwać! Byłem przerażony. Drżałem tak, jak drży człowiek, kiedy się znajdzie sam w nocy w ciemnym zaułku: ma uczucie, że go przeniesiono jakby w nowy porządek rzeczy, czuje grozę, z której otrząsa się dopiero po długim rozpatrywaniu się w otaczających przedmiotach.

Siedliśmy koło siebie, ująłem jej dłoń.

– Ach, Manon – mówiłem wpatrując się w nią smutnymi oczyma – nie spodziewałem się zdrady, jaką odplaciłaś mą miłość. Łatwo ci przyszło zwieść serce, którego byłaś jedyną królową i które pokładało całe szczęście w tym, aby ci być miłym i posłusznym. Powiedz, powiedz teraz, czy znalazłaś inne, równie tkliwe i oddane. Nie, nie, natura nie stworzyła na świecie serc podobnych memu. Powiedz bodaj, czy żałowałaś czasem. Ile mogę budować na uczuciu, które cię dziś sprowadza? Widzę, aż nadto dobrze, jak bardzo jesteś urocza, ale w imię wszystkich mąk, które wycierpiałem, powiedz, piękna Manon: czy będziesz mi wierna?

Odpowiedziała tak szczerymi słowami żalu, przysięgła wierność za pomocą tylu zaklęć i przyrzeczeń, iż wzruszyła mnie nieopisanie.

– Droga Manon! – mówiłem w świętokradzkim pomieszaniu świeckich i duchownych wyrazów uwielbienia – jesteś bosko, nadziemsko urocza. Czuję, iż serce moje unosi się w tryumfalnym zachwyceniu. Wszystko, co tutaj, w Saint-Sulpice, bają o wolności, jest jeno chimera. Zatrączę dla ciebie los i dobre imię, czuję to, czytam mą dolę w twoich pięknych oczach, ale jakichż strat nie wynagrodziłaby twoja miłość! Łaski losu nie wzruszają mnie; sława zda mi się czczym dymem; powołanie duchowne było szalonym majakiem; słowem wszelkie szczę-

ście poza tobą godne jest jedynie wzgardy, skoro nie umiałoby się ani chwili ostać w mym sercu wobec twego jednego spojrzenia.

Przyrzekając zapomnieć jej błędy chciałem wszakże wiedzieć, w jaki sposób dała się uwieść panu de B***. Opowiedziała mi, jak ujrzawszy ją w oknie zapłonął miłością. Oświadczył się jej w sposób godny kramarza, to znaczy dając do zrozumienia, iż nagroda będzie proporcjonalna do łask, jakich dozna. Zrazu słuchała bez innego zamiaru, jak tylko z chęcią wydobycia zeń znaczniejszej sumy, która by pozwoliła nam żyć wygodnie; oślepił ją tak wspańniętymi obietnicami, iż stopniowo dała się wzruszyć; mogę wszakże sądzić o jej wyrzutach z bólesci, jaką musiałem wyczytać w jej twarzy w dniu rozstania! Mimo dostatku, jakim ją otoczył, nie zakosztowała z tym człowiekiem szczęścia; nie tylko (mówiła) bo nie znalazła w nim mojej delikatności uczuć i mego wdzięku, ale ponieważ w pełni uciech, jakich jej wciąż dostarczał, nosiła w sercu wspomnienie mej miłości i wyrzut, iż mogła ją zdradzić. Wspomniła o Tybercym, o pomieszaniu, w jakie wprawiły ją jego odwiedziny.

– Pchnięcie szpady w serce – dodała – mniej byłoby mnie wstrząsnęło. Odwróciłam się i uciekłam nie mogąc znieść jego obecności.

Opowiedziała dalej, jaką drogą dowiedziała się o mym pobycie w Paryżu, o mej zmianie stanu i o dzisiejszej uroczystości. Upewniła, iż w czasie dysputy była tak wzruszona, że z trudem przychodziło jej wstrzymać nie tylko łzy, ale jęki i krzyki, które omal się jej nie wydobyły. Rzekła wreszcie, iż wyszła z gmachu ostatnia, aby ukryć swe wzruszenie, i że idąc jedynie za popędem serca, przybyła prosto do seminarium z postanowieniem zakończenia tam życia, gdybym jej nie przebaczył.

Gdzież jest barbarzyńca, którego by taka skrucha nie zdołała wzruszyć? Co do mnie, uczułem, że poświęciłbym dla Manon wszystkie infuły chrześcijaństwa. Spytałem, jak myśli pokierować naszymi sprawami. Odparła, iż trzeba natychmiast opuścić seminarium i znaleźć schronienie. Zgodziłem się bez słowa. Udała się do karocy, aby mnie oczekiwać na rogu. Wymknąłem się za chwilę, niepostrzeżony przez odźwiernego. Siadłem koło niej. Wstąpiliśmy do składu ubrań, wdziałem z powrotem galony i szpadę. Manon zapłaciła wszystko; nie miałem przy sobie ani grosza, w obawie zaś, aby ucieczka moja nie napotkała na przeszkodę, nie pozwoliła mi wrócić po sakiewkę. Skarbczyk mój był dość ubogi. Manon zaś dzięki szczodroblewości pana de B*** była dość bogata, aby gardzić tym, cośmy zostawili. Nim wyszliśmy ze składu, naradziliśmy się, co mamy czynić.

Chcąc, aby poświęcenie jej było tym pełniejsze, Manon postanowiła zerwać z panem de B*** bez zastrzeżeń.

– Zostawię mu meble – rzekła – są jego, ale jak każe sprawiedliwość, zabiorę klejnoty i blisko sześćdziesiąt tysięcy franków, które wycisnęłam zeń przez dwa lata. Nie ma żadnych praw do mnie – dodała – możemy zostać bez obawy w Paryżu. Najmiemy sobie wygodne mieszkanko i będziemy żyć szczęśliwie.

Przedstawiłem jej, że o ile ona może się czuć bezpieczna, moje położenie jest zgoła inne. Prędzej lub później znajdą mój trop; wciąż będę narażony na nieszczęście, którego raz już doznałem. Poznałem z twarzy Manon, iż żal jej było opuszczać Paryż. Tak lękałem się sprawić jej przykrość, że nie było niebezpieczeństwa, którym bym nie wzgardził, byle spełnić jej życzenie. Wreszcie znaleźliśmy pośrednią drogę: nająć domek pod Paryżem, skąd łatwo będzie dostać się do miasta, skoro nas tam powoła ochota lub potrzeba. Wybraliśmy Chaillot, jako niezbyt odległe. Manon pośpieszyła natychmiast do siebie, ja miałem czekać u furtki Tuileryj.

Wróciła za godzinę w najętym powozie, wraz z pokojówką oraz kilkoma walizami zawierającymi garderobę i wszystko, co miała cenniejszego.

Niebawem dotarliśmy do Chaillot. Zajechaliśmy do gospody, aby sobie zostawić czas na wyszukanie domu lub bodaj mieszkania. Znaleźliśmy nazajutrz wygodny apartamencik.

Szczęście moje zdało się zrazu niewzruszone. Manon była istnym obrazem dobroci i słodczy. Okazywała mi tyle względów, że czułem się wspaniale nagrodzony za moje niedole. Ponieważ nabyliśmy oboje nieco doświadczenia, oszacowaliśmy ściśle trwałość naszej fortuny. Sześćdziesiąt tysięcy franków, podwalina dostatku, nie była to suma, która by mogła starczyć na cały długi bieg naszego życia. Nie czuliśmy się zresztą usposobieni do ograniczeń. Oszczędność nie była główną cnotą Manon ani moją. Oto plan, jaki przedłożyłem:

– Sześćdziesiąt tysięcy franków – rzekłem – mogą nam zabezpieczyć dziesięć lat. Dwa tysiące talarów rocznie to zupełnie dosyć, o ile pozostaniemy w Chaillot. Będziemy żyli przyzwoicie, lecz skromnie. Jedynym zbytkiem będzie powóz i konie oraz teatr. Trzeba to rozsądnie obmyślić. Lubisz operę, zatem, powiedzmy, opera dwa razy na tydzień. Co się tyczy gry, ograniczymy ją tak, aby straty nie wyniosły nigdy więcej niż dwa pistole. Niesposób, aby do lat dziesięciu nie zaszły jakieś zmiany w moich stosunkach rodzinnych; ojciec nie jest wiekowy, może umrzeć; stanę się panem majątku, wówczas będziemy wolni od trosk i obaw.

Program ten nie byłby największym szaleństwem mego życia, gdybyśmy byli dość roztropni, aby się go trzymać, ale postanowienia nasze nie trwały dłużej niż miesiąc. Manon lubiła namiętnie wszelkie uciechy, ja również, gdy chodziło o jej zabawę. Co chwila nastęrczały się okazje; ja zaś daleki od żałowania sum, które Manon trwoniła, pierwszy starałem się dostarczyć wszystkiego, co mogło jej sprawić przyjemność.

Nawet mieszkanie w Chaillot zaczęło jej ciążyć. Zbliżała się zima, wszystko ściągało do miasta. Manon zaproponowała, aby się przenieść do Paryża. Nie zgodziłem się, ale pragnąc ją zadowolić bodaj w części, rzekłem, że możemy wynająć w mieście parę pokoi, aby mieć gdzie nocować, ilekroć zdarzy się nam zabawić zbyt późno; uciążliwy bowiem powrót był pozorem, dla którego chciała opuścić tę miejscowość. Obarczyliśmy się w ten sposób dwoma mieszkaniem: jedno w mieście, drugie na wsi. Zmiana ta wprowadziła ostateczny zamęt w nasze interesy, a wreszcie dała powód do dwóch wydarzeń, które stały się przyczyną ruiny.

Manon miała brata, który służył w gwardii. Nieszczęściem, mieszkał w pobliżu nas. Jednego dnia idąc ulicą spostrzegł w oknie siostrę i poznał ją. Natychmiast przybiegł. Był to człowiek brutalny i bez honoru. Wszedł klnąc straszliwie, że zaś niejeden wybryk Manon doszedł jego wiadomości, obsypał ją stekiem obelg i wymówek. Wyszedłem z domu chwilę przedtem; okoliczność niewątpliwie szczęśliwa dla niego lub dla mnie, nie byłem bowiem skłonny cierpieć bezkarnie zniewag.

Wróciłem dopiero po jego odejściu. Odgadłem z twarzy Manon, że musiało coś zająć. Opowiedziała scenę, jakiej stała się ofiarą, oraz brutalne pogróżki brata. Byłem tak oburzony, że byłbym natychmiast szukał pomsty, gdyby Manon nie zatrzymała mnie łzami.

Gdy rozmawialiśmy o tej przygodzie, gwardzista znowu wtargnął bez oznajmienia. Gdybym go znał, nie byłbym go przyjął tak uprzejmie, ale on, pozdrowiwszy nas z uśmiechem, z miejsca oświadczył, iż przyszedł przeprosić Manon. Posądzał ją o złe prowadzenie i stąd jego gniew, ale zasięgnąwszy u służby wiadomości o mej osobie, dowiedział się rzeczy tak pochlebnych, że informacje te obudziły w nim chęć pojednania.

Mimo iż te kuchenne wywiady raziły mnie, przyjąłem jego wylew z całą uprzejmością. Sądziłem, iż robię przyjemność Manon, która zdawała się zachwycona pojednawczością brata. Zatrzymaliśmy go na obiad.

Po krótkim czasie spoufalił się do tego stopnia, iż słysząc, jak rozmawiamy o powrocie do Chaillot, chciał nam koniecznie dotrzymać towarzystwa. Trzeba go było wziąć do karocy.

Był to niejako akt objęcia w posiadanie; niebawem przyzwyczaił się odwiedzać nas tak gorliwie, iż uczynił sobie dom z naszego mieszkania, a swoją własność z wszystkiego, co do nas należało. Tytułował mnie bratem, jakoż z braterską swobodą sprowadzał do Chaillot chmarę przyjaciół i raczył ich na nasz rachunek. Wyekwipował się wspaniale naszym kosztem, żądał nawet, abyśmy zapłacili jego długi. Zamykałem oczy na tę tyranie, aby nie czynić przykrości Manon; udawałem nawet, że nie widzę, iż brat wyciąga z niej znaczne kwoty. To

prawda, że będąc namiętym graczem, sumiennie oddawał jej część, kiedy fortuna mu sprzyjała, ale nasze skromne mienie nie mogło długo nastarczyć takim wydatkom.

Miałem już zamiar rozmówić się z nim stanowczo, aby uwolnić siebie i Manon, kiedy złowrogi przypadek oszczędził mi tej przykrości sprowadzając w zamian inną, która pograżyła nas bez ratunku.

Jednego dnia, jak często, zostaliśmy na noc w Paryżu. Służąca, która w takim razie sama pilnowała domu, przybiegła uawiadomić mnie, że w nocy wszczął się ogień i że z trudnością zdołano go ugasić. Spytałem, czy rzeczy nasze nie ucierpiały; odparła, że było takie zamieszanie, tylu obcych zbiegło się jakoby na pomoc, że za nic nie może ręczyć. Drżałem o nasze mienie, które znajdowało się w małej szkatułce. Udałem się co rychlej do Chaillot. Daremny pośpiech! Szkatułka znikła.

Przekonałem się wówczas, że można kochać pieniądze nie będąc skąpym. Myślałem, że rozum postradam. Zrozumiałem w lot, na jakie nowe nieszczęścia mnie to wystawi – ubóstwo było najmniejszym! Znałem Manon, doświadczyłem aż nadto, iż mimo wierności i przywiązania jej do mnie w dobrym losie, nie trzeba liczyć na nią w nędzy: zbyt kochała dostatek i uciechy, aby je dla mnie poświęcić.

– Stracę ją! – wykrzyknąłem. – Nieszczęsny kawalerze! znów tedy postradasz przedmiot ukochania.

Ta myśl wprawiła mnie w taki zamęt, iż przez chwilę wahałem się, czy nie uczyniłbym lepiej śmiercią kładąc kres wszystkim niedolom.

Mimo to zachowałem na tyle przytomności, aby się rozpatrzeć, czy nie ma jakiego ratunku. Niebo obudziło we mnie myśl, która wstrzymała mą rozpacz: pomyślałem, że może mi się uda ukryć przed Manon naszą stratę i że przy pomocy sprytu lub szczęścia zdołam uzyskać tyle, aby nie dać jej odczuć nędzy.

Rachowałem (mówiłem sobie, aby się pocieszyć), że dwadzieścia tysięcy talarów starczą na dziesięć lat; przypuśćmy, że tych dziesięć lat minęło i że żadna ze spodziewanych zmian nie zaszła w mej rodzinie. Cóż bym wtedy postanowił? Nie wiem, ale kto mi broni zrobić to samo dziś? Ileż osób żyje w Paryżu nie mając ani mych zdolności, ani moich wrodzonych darów, a mimo to zawdzięczając egzystencję własnemu przemysłowi.

Czyż Opatrzność (dodawałem zastanawiając się nad rozmaitymi drogami życia) nie urządziła rzeczy bardzo mądrze? Magnaci i bogacze to przeważnie głupcy; kto bodaj trochę zna świat, widzi to doskonale. Otóż w tym właśnie jest cudowna sprawiedliwość. Gdyby łączyli rozum z bogactwem, byłiby zbyt szczęśliwi, a reszta ludzi zbyt nędzna. Przemyoty ciała i duszy przypadły znowuż tamtym, jako środki pozwalające im się dźwignąć z nędzy i ubóstwa. Jedni biorą udział w bogactwach mocarzy służąc ich przyjemnościom i wyzyskując je, jak mogą. Inni sprzedają im swą naukę i starają się zrobić z nich godnych ludzi; rzadko, co prawda, się im to udaje, ale nie to jest celem boskiej mądrości: zawsze uszczkną jakiś owoc trudów żyjąc na koszt swych dostojnych uczniów. W jaki bądź tedy sposób rzecz ująć, nierozum moźnych i bogaczy jest znakomitym źródłem dochodu dla maluczkich.

Te myśli dodały mi nieco otuchy. Postanowiłem na początek zasięgnąć rady imć pana Lescaut, brata Manon. Znał doskonale Paryż i jak mogłem aż nadto się przekonać, najczęstsze jego dochody miały źródło nie w majątku ani w płacy. Zostało mi ledwie dwadzieścia pistoli, które przypadkowo zabrałem był z sobą. Pokazałem mu sakiewkę wyznając me nieszczęście i obawy oraz spytałem, czy między śmiercią głodową a rozbiciem głowy o mur jest dla mnie jaka droga. Odpowiedział, że rozbijać sobie głowę o mur to ucieczka głupców; co się tyczy śmierci głodowej, wielu rozumnym ludziom zdarzyło się ją znaleźć w tej ostateczności, o ile nie chcieli zrobić użytku ze swych talentów. Do mnie tedy należy zważyć, do czego jest zdolny, on może tylko przyrzec mi pomoc i radę.

To wszystko jest bardzo mgliste, mości Lescaut – rzekłem – położenie wymaga szybszego lekarstwa; cóż mam powiedzieć Manon?

Skoro mowa o Manon – odparł – nie rozumiem, czym się pan kłopoce. Czyż przy jej dobrej woli nie masz zawsze sposobu położenia końca kłopotom? Dziewczyna taka jak ona utrzyma z łatwością wszystkich troje: pana, siebie i mnie.

Chciałem odpowiedzieć tak, jak na to zasługiwały te bezczelne słowa. Przerwał oznajmiając, iż przed wieczorem jeszcze będziemy mieli niechybnie tysiąc talarów do podziału, jeżeli tylko zechcę iść za jego radą; zna jednego pana tak szczodrego, iż tysiąc talarów niczym dlań będzie w zamian za łaski Manon.

Przerwałem.

– Miałem lepsze mniemanie o panu – odparłem – wyobrażałem sobie, iż przyjaźń pańska płynęła z zupełnie innych uczuć.

Wyznał bezwstydnie, że zawsze myślał tak samo i że skoro siostra jego raz zdeptała prawa swej płci, choćby dla najbardziej ukochanego człowieka, pojednał się z nią jedynie w nadziei korzyści z jej nierządu.

Zrozumiałem, że dotąd byliśmy ofiarami jego interesowności. Mimo całego oburzenia położenie moje kazało mi oszczędzać niegodziwca; odpowiedziałem tedy śmiejąc się, iż radę tę uważam za deskę ratunku, którą zachowam na ostateczność. Prosiłem, aby mi wskazał inną drogę.

Podsunał mi, abym skorzystał z mej młodości i warunków i starał się zbliżyć z jaką starszą a szczodrobliwą damą. Ten sposób, który zmusiłby mnie do niewierności wobec Manon, również nie przypadł mi do smaku.

Wspomniałem o grze, jako o sposobie najłatwiejszym i najbardziej zgodnym z moim położeniem. Odparł, iż gra, w istocie, jest niezłą rzeczą, ale że należy się zdecydować w tej mierze. Grać po prostu, ze zwykłymi widokami, to droga, aby się zarząć do reszty. Próbować samemu, bez współników, praktykować sposoby, jakimi zręczny człowiek stara się pomóc fortunie, to rzemiosło zbyt niebezpieczne. Istnieje trzecia droga, mianowicie spółka, ale młody mój wiek każe mu się obawiać, iż panowie stowarzyszeni nie osądzą mnie jeszcze dojrzałym do takiego przedsięwzięcia. Przyrzekł wszakże pośrednictwo i, czego nie byłbym się spodziewał, ofiarował się z pomocą pieniężną, w razie gdybym się znalazł w potrzebie. Jedyna łaska, o jaką błagałem na razie, to aby nic nie mówił Manon o mojej stracie i o treści naszej rozmowy.

Wyszedłem bardziej jeszcze przygnębiony niż wprzód, żałowałem nawet, iż zdradziłem ją tajemnicę. Lescaut nie uczynił nic, czego bym nie mógł uzyskać bez tego zwierzenia, lękałem się zaś śmiertelnie, aby nie złamał obietnicy i nie zdradził mnie przed Manon. Wobec jego wyznania wiary miałem przyczynę obawiać się również, aby nie zapragnął wyzyskać powabów siostry na własną rękę i wedle własnego programu. Lękałem się, że albo mi ją uprowadzi, albo przynajmniej będzie ją nakłaniał, aby mnie opuściła i wzięła kochanka dającego większe widoki. Niejednokrotnie zbierała mnie ochota napisać do ojca i udać nową skrucę, aby uzyskać pomoc, ale przypominałem sobie, jak mimo swej dobroci trzymał mnie po pierwszym błędzie pół roku w więzieniu. Byłem pewny, iż po skandalu ucieczki z Saint-Sulpice obszedłby się ze mną jeszcze srożej.

Wreszcie z tego zamętu wyłoniła się inna myśl, która od razu wróciła mi spokój. Dziwiłem się, że wcześniej nie przyszła mi do głowy. Myślą tą było odwołać się do Tybercego, u którego, byłem pewny, zawsze mogłem liczyć na niewzruszoną przyjaźń. Nic cudowniejszego i nic co by przynosiło więcej zaszczytu cnotcie niż zaufanie, z którym zwracamy się do osób znanych nam z zacności. Mamy świadomość, że nie ponosimy żadnego ryzyka: jeśli nie zawsze mogą pomóc, jesteśmy pewni, iż co najmniej znajdziemy u nich dobroć i współczucie. Serce, które zamyka się tak starannie dla reszty ludzi, otwiera się z rozkoszą w ich obecności, jak kwiat rozwity w słońcu. Uważałem to za znak opieki nieba, iż przypominałem sobie Tybercego tak w porę; postanowiłem zobaczyć się z nim przed wieczorem. Wróciłem natychmiast do